

Marek Sołtysik

Poruszone zdjęcie Przybyszewskiego : (cz. 3)

Palestra 51/11-12(587-588), 112-117

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

PORUSZONE ZDJĘCIE PRZYBYSZEWSKIEGO (cz. 3)

Rewolwer Władka Emeryka

„...Przejdźmy do kwestii pogrzebu. Po zrobieniu protokołu policyjnego, po umyciu ciała, ciało pani Przybyszewskiej proszę natychmiast czymś przykryć lub włożyć do trumny, jeżeli takowa już będzie i nikt absolutnie nie ma prawa jej oglądać. Żadnych gapiów nie dopuszczać, nikogo! Pani Przybyszewska ma być pochowana jak najlepiej, słowem, dobra trumna, porządny katafalk, dobre miejsce na cmentarzu. (...) Pani Przybyszewska jest chrześcijanką, na imię ma Dagny. Moją mość może oglądać każdego, komu to przyjemność sprawi. Chowajcie mnie gdzie chcecie i jak chcecie, również, jeśli się uda, urzędź, by sekcji z pani P. nie robili. Nie ulega przecie wątpliwości, że ja ją zabiłem, po cóż sekcja?”

Tak pisał Władysław Emeryk do Antoniego Kellera w Tyflisie 29 maja 1901 roku. Dlaczego do Kellera? Bo jako jednego z najuczciwszych ludzi, jakich znał (i będącego na miejscu), obarcza go sprawą, która zawiera się w brzmieniu następujących słów: „Tobie, jako najbliższej mi osobie w Tyflisie, wypadnie przyjemność zajęcia się pogrzebem, pogrzebami raczej. Frajda niewielka, przyznaję, lecz innej rady nie ma”.

Dramat rozegrał się w środę, 5 czerwca 1901.

Listy Władysława Emeryka do kilku osób, przygotowywane od tygodnia, poprzedzające strzały oddane jego ręką, świadczą o determinacji tego młodego człowieka. Nikt by się czegoś takiego nie spodziewał po nim, o którym mówiono, że jeszcze w Krakowie „przywiązał się do Przybyszewskich jak duży pies”. Ciekawy jest list do utalentowanego kpiarza, błyskotliwego sybaryty, Franza Fiszera:

„Kochany panie, staje się to, czego pan się najmniej spodziewał, a co było koniecznym, jedynym i nawet postanowionym od dawna”.

Łańcuch samobójstw lwowskich – tragicznie zmarłych bez konkretnego powodu liczyło się już na kilka dziesiątek! To byli młodzi. O tym, że infekcja niebawem przejdzie na starszych, świadczy fakt samobójczej śmierci sześćdziesięcioletniego komediopisarza Michała Bałuckiego: nocą w połowie października 1901 w Krakowie poszedł na Błonia i zastrzelił się. Motywy by się znalazły: jeszcze do niedawna lekceważony Wyspiański spycha jego sztuki z repertuaru, żona zaniedbuje. Ale tu – młodzi, prężni, piękni autorzy wierszy z powiewem świeżej myśli!?

Spróbujmy prześledzić wydarzenia poprzedzające nieszczęście.

Dagny wraca do kraju po wielomiesięcznej nieobecności. Afiszuje się z młodymi Korab-Brzozowskimi, Władysław Emeryk towarzyszy jej z afekcją budzącą niepokój nawet najluźniej żyjących cyganów, którzy nie omieszkają przestrzec Przybyszewskiego. Ten jednak ma nowe kłopoty i fascynacje. Właśnie rozbija się dla niego stadło Kasprowiczów, a on sam niebawem zostanie ojcem dziecka panny Pająkówny.

Przybyszewski, z godnością ugodzoną strzałą Dagny, nigdy już nie poczuje się ojcem Zenona. Dedukuje: skoro Dagny w przeszłości chciała zniszczyć życie Munchowi, co jej się w części udało, skoro wpędziła Strindberga w psychozę maniacką, skoro przez nią ciężko choruje młodzietki lekarz Tadeusz Zeleński (późniejszy Boy), skoro wyjazd na Kaukaz odbywa się właśnie teraz, 5 maja 1901, w dzień po pogrzebie Stanisława Korab-Brzozowskiego, psychicznie i cieleśnie udęczonego przez Dagny, to trzeba zrobić wszystko, ażeby nie stać się kolejną ofiarą. Ofiarą kobiety złej i podstępnej, działającej pod płaszczykiem subtelności.

Choć ktoś może powiedzieć, że to Przybyszewski, Smutny Szatan, naprowadzał. Strzałem z ręki Emeryka wyeliminował z gry Dagny, każąc jej umrzeć, żeby uniknąć kłopotów z rozwodem i w ten sposób gładko się złączyć z Kasprowiczową, co zresztą nie przeszkadzało mu dawać się dofinansowywać starszej odeń o cztery lata pannie Pająkównie, żaląc się przed nią, noszącą pod sercem jego dziecko, na strasznie zaborczą w miłości dotąd jeszcze wciąż żonę swego przyjaciela Jana Kasprowicza, Jadwigę, która uciekała od męża trzykrotnie i na jego błagania wracała. Za czwartym razem nikt już za nią nie wołał, przekroczyła kordon, żeby znaleźć się w Warszawie, przy Przybyszewskim, który ignorując poszukującą z nim kontaktu Dagny, trwał w gościnnym pokoju (tam gdzie skoła Korab-Brzozowski) na posterunku redaktora „Chimery”.

Przybyszewski zrobił więc nie to, co mu było wygodne (bo przecież mógłby się wybyć i pić do woli na Kaukazie na koszt Władka & Company), lecz to, co do czego miał pewność, że uratuje mu życie. Wyjazd do Tyflisu od kwietnia planowany był w następującym składzie: dwaj bracia Korab-Brzozowscy (samobójstwa Stanisława nie planowano), Dagny z Zenonem, Przybyszewski i oczywiście Władysław Emeryk jako sponsor. W ostatnim niemal momencie, tuż przed wyjazdem na dworzec, a może już nawet podczas sadowienia się w przedziale, Przybyszewski oznajmił, że zatrzymują go nagłe sprawy literacko-teatralne. Obiecał, że dojedzie później, a jak tylko wróci do domu, prześle do Tyflisu paszport dla Dagny i Zenona. Podróż na Kaukaz trwała

dwa tygodnie. Dagny w Tyflisie przez następne dwa tygodnie codziennie wychodziła na dworzec, czekając jeśli nie na męża, to przynajmniej na przesyłkę.

„Rozum mój przestaje działać – pisała na dzień przed śmiercią. – Telegrafowałam do Krakowa, do Lwowa, do Warszawy – żadnej odpowiedzi. Dobrze”. Donosi, że nazajutrz wyjeżdżają z Emerykiem na wieś nad Morzem Czarnym. „Bardzo ważne! Musisz mi odwrotną pocztą przysłać tutaj paszport dla mnie i dla Zenona. Mogę mieć z tego powodu wielkie nieprzyjemności. Przynieś mi przysłać paszport następnego dnia! (...) Ja jestem zbита z tropu, zupełnie zbита z tropu”.

Zbита z tropu. A jakimże tropem dotychczas podążała?

Trudno przyjąć konstatację w tym wypadku nieobiektywnego Boya, że Przybyszewski niemal świadomie szerzył ową infekcję psychiczną powodującą lawinę samobójstw i „narkotyzował się atmosferą śmierci”. Przecież on w tym wypadku wyraźnie się usunął. O powodach możemy dyskutować, ale – usunął się.

Gdy mu zwracano uwagę na niestosowne dla żony towarzystwo rozgrzanych młodzieńców, nie reagował. Czyżby tym także miał prowokować?

Depesza w „Kurierze Warszawskim” z 12 czerwca 1901: „Co zaszło w Tyflisie – nie wiadomo. Dość że dnia 5 bm. w jednym z hoteli miejscowych znaleziono dwa trupy: pani Dagny Przybyszewskiej i Władysława Emeryka. Obdukcja lekarska stwierdziła, że oboje zginęli od kuli rewolwerowej”. W dwa dni po strzałach w Tyflisie miejscowe pismo „Kaukaz” informowało o dramacie. Oto od dawna mieszkający w „Grand Hotelu” szlachcic guberni warszawskiej Władysław Emeryk przed miesiącem wyjechał do Warszawy. Dwa tygodnie temu wrócił wraz z pewną panią – którą przedstawił jako swoją siostrę – i z jej pięcioletnim synkiem. Nie okazawszy paszportu owej damy, umieścił ją w przyległym pokoju. 5 czerwca Emeryk, całując Zenona wyprowadził go z pokoju śpiącej matki, a pozostawiwszy go w drugim pokoju pod opieką swego przyjaciela Antoniego Kellera, zamknął drzwi na klucz. W nocy dwa wystrzały zaalarmowały służbę i gości hotelowych. Policjanci wyłamali drzwi, żeby zobaczyć leżącą na łóżku, zbroczoną krwią i z kulą w tyle głowy rzekomą siostrę Emeryka, trzydziestopięcioletnią kobietę bez paszportu. Zwłoki samego Emeryka leżały na dywaniku przed łóżkiem. Z ust jego sączyła się krew. Z pliku listów Emeryka, zabójcy i samobójcy (omówionych w tydzień później w piśmie „Tifliskoj Listok”), wynikało, że owa kobieta, którą okazała się Dagny Przybyszewska, została zastrzelona we śnie, tak jak sobie zaplanował Emeryk, „w chwili, kiedy najmniej będzie się tego spodziewała”. Możliwe również, że siedziała sobie na krześle, a zabójca stał za nią...

Mąż zabitej nie pojechał do Tyflisu. Natychmiast podążyła tam jedyna przyjaciółka Dagny, Władysława Tomaszewska. Przywiozła odpisy listów pożegnalnych szałenią oraz zdjęcia Dagny i Emeryka w trumnach, obsypanych różami.

Wybitni znawcy, m.in. Tadeusz Zeleński-Boy (zresztą świadek wydarzeń) i Stanisław Helsztyński, (autor *vie-romancée* o Przybyszewskim), nie rozwiewają do końca ciekawości co do osoby dwudziestoletniego Władysława Emeryka, który zabrał Dagny z Zenonem na Kaukaz. Skąd wziął się ten chłopak – *deus ex machina*

tragedii w Tyflisie? Boy mniema (ale to już we wspomnieniach), że czyn Emeryka, „młodego głuptasa”, był związany z rzekomą plajtą finansową jego ojca. Badacze na ogół zgadzają się na to. Bezpodstawnie, jak się okazuje. Bo dopiero błyskotliwy krytyk literacki i teatralny, Adam Grzymała Siedlecki, niezrównany gawędziarz, mistrz puenty, w wydanych pośmiertnie „Rozmowach z samym sobą” (Kraków 1972) przedstawia nam Emeryka-ojca jako człowieka niepokonanego. Nie było takiej plajty, która by mogła go złamać. Wyjawiając zapomniane powszechnie fakty, Grzymała Siedlecki pisze, jak to w latach siedemdziesiątych XIX w. jedna z gałęzi Potockich, „nieco, bodaj, podupadła w fortunie – wpadła na fantastyczny pomysł prawowania się ze skarbem państwa rosyjskiego o rozległe dobra – czy nie na Polesiu? – skonfiskowane ich przodkom za udział w którejś antypaństwowej polskiej akcji, powstania 1831, czy innej. Do kogokolwiek z większych adwokatów czy to petersburskich, kijowskich czy warszawskich udali się, wszędzie otrzymywali wiadomość, że szaleństwem jest wszczynać proces sądowy, bo jak akta urzędowe wskazują, że konfiskata odbyła się zgodnie z ustawami. Gdy już niemal stracili wszelką nadzieję, zjawia się u nich naraz młody, początkujący adwokat kijowski, Gustaw Emeryk i oświadcza im, że podejmuje się wszcząć proces, nie żądając żadnego honorarium na wypadek przegranej, natomiast żądając 10 procent od sumy szacunkowej dóbr na wypadek wygranej. Potoccy oczywiście przystali. Ku zdumieniu całej palestry w imperium, Emeryk proces ten w senacie orzekającym – więc w ostatniej instancji – wygrywa.

Sukces swój młody adwokat zawdzięczał niewątpliwie jakimś współczynnikom ocierającym się o cud, ale że przy tym wykazał niezwykle uzdolnienia prawnicze, to rzecz pewna. Był on jurystą podobno wyjątkowo bystrym, ale co nas tu więcej obchodzi: był to umysł w ogóle niepospolity. Każda poważniejsza z nim rozmowa bogaciła rozmówcę. To, co go poza tym natomiast już cechowało, to zarozumiałość równa inteligencji. To może sprawiało, że nigdy i przez nikogo nie był lubiany.

Uzyskawszy od Potockich umówione wynagrodzenie, natychmiast porzucił palestrę, przeniósł się do Petersburga i tu jął się operacji giełdowych”.

Grzymała Siedlecki wyraża przypuszczenie, że ryzykowny ten człowiek niemal od dziecka marzył, by się stać multimilionerem. Rosja uprzemysławiała się wtedy potężnie. Gustaw Emeryk wiedząc o ogromnym popycie na metale, porzucił giełdę i przeszedł na tzw. kopalnictwo. Odkrył i eksploatował duże złoża miedzi w Kirgizji; zachęcony powodzeniem, z napęczniałą kiesą, nabywa kolejno wiele kopalń w Rosji i za granicą. Raz zyskuje, raz traci – bardzo to lubi, podnieca go takie życie, bo jest hazardzistą!

„Gdym go poznał, bazą jego operacji była ruda żelaza w Krzywym Rogu (gubernia chersońska), w kilka lat później porzucił żelazo, przerzucił się na mangan w Cziaturach na Kaukazie, i jakiś inny metal, bodajże w Ameryce Środkowej”.

Pierwszą żonę poślubił – jak pisze Grzymała Siedlecki – „w okresie swoim miedzianym”. Dbał o kopalnię, wciąż w niekończących się podróżach w interesach, całkiem zaniedbał żonę. I to zdjęcie jej właśnie, młodo zmarłej w obłędzie, do koń-

ca życia będzie miał zawsze przy sobie jej syn i syn hazardzisty, Władysław Emeryk, człowiek, w którym wymieszały się geny szaleństwa i melancholii.

Po matce „wziął typ urody germańskiej, typ «lohengrinowski» – mówi autor *Rozmów z samym sobą* – złociste włosy, mocna statua ciała i marzycielskie, błękitne oczy”. A matka na tej fotografii?... Pisz dalej wykwintny esteta: „Trudno sobie wyobrazić smutniejszy wyraz twarzy. Wyraz smutek niedostatecznie określa tragizm wypisany np. w jej spojrzeniu – trzeba by raczej powiedzieć: przerażenie. Przerażenie było z oczu, z przekrzywienia ust jakimś krzykiem (...) Zwróćmy więc uwagę: późniejszy zabójca Dagny Przybyszewskiej był synem kobiety obłąkanej”.

Jeszcze w Krakowie nazywano Władysława Emeryka „księciem Co-Co”.

Cztery lata wcześniej. Długotrwała jazda pociągami. Batumi – żar z nieba; po kilku godzinach, ale o ileż wyżej, śnieżna zawieja. Dalej górską kolejką. Podróżni stoją trzy kwadransy wśród śniegów... bo maszynista natknął się na stacji na przyjaciela sprzed lat, tłumaczy podróżnym funkcjonariusz kolejowy – „...piją teraz w bufecie, serca ze sobą wymieniają, a wy – nic tylko: dlaczego nie jedziemy. Na co ci się śpieszyć? Śmierci swojej nie przyspieszysz». «No dobrze, ale od czegoż jest rozkład kolejowy?» «Rozkład rozkładem, a człowiek człowiekiem». Uczułem, że jestem w pełnej aurze Czechowa.

Przyjaciele nareszcie serca wymienili, ruszyliśmy i koło dziesiątej dobiliśmy do Cziatur”.

Mangan – idealny składnik stopów metali, miał wtedy ogromne zastosowanie w przemyśle ciężkim, jako braunsztyn służył m.in. do odbarwiania szkła – to była fortuna Emeryka: „gniazda manganu, cennego metalu, na którym się ludzie bogacili” – złoża zbierane na sytko, na szczytach stromych gór, znoszone przez robotników.

Adam Grzymała Siedlecki, tak opisując wcześniejszą, wspólną z młodym wówczas dramaturgiem Janem Augustem Kisielewskim podróż na Kaukaz, „na zaproszenie Władka Emeryka”, zauważyła – i nie jest to wyłącznie jego spostrzeżenie – że Kisielewski już wtedy dostał manii, że Emeryk go chce zabić i uciekać – i ucieka! Czyżby mniej choroba psychiczna znakomitego dramaturga, zaczynająca już dawać znać o sobie, a bardziej intuicja?! Toż tylko dwa lata upłynęły i Emeryk zastrzelił Dagny i siebie. A podróż... „Wówczas, jesienią 1899 roku ani by kto mógł przypuścić, że taki los sobie i ukochanej kobiecie zgotuje ten sympatyczny, dorodny i zdrowiem tryskający dwudziestoletni chłopak. Ojciec jego miał tu kopalnię manganu. Władek z jego ramienia nadzorował przedsiębiorstwem. Powiedzmy: niby nadzorował.

Jak zawsze impulsywny, ekstrawagancki i we wszystkim romantyki szukający, natychmiast po nakarmieniu nas sutym śniadaniem, mnogimi kielichami czerwonego wina zakropionym, postanawia, że jedziemy konno w góry podziwiać czar Kaukazu. Powiedziane, zrobione”.

Wróćmy do ojca Władysława, pana Gustawa Emeryka. Dopiero po kilkunastu latach wdowieństwa, dobiegając pięćdziesiątki ożenił się powtórnie, ale nie zmienił

trybu życia: bardzo bogaty, dążył do jeszcze większego bogactwa. Prowadził dom na Kaukazie, w miejscu jednej z licznych swych kopalń, w Warszawie zajmował dla żony całe piętro w kamienicy na placu Trzech Krzyży (nad kawiarnią Galińskiego). Otoczony zawsze sztabem figur, „nie wiadomo, w jakim celu przezeń utrzymywanych”, żył z pozoru nonsensownie i próżniaczo. W podróżach zatrzymywał się z owym sztabem w najlepszych apartamentach i siedział w restauracji od pierwszego śniadania do późna w nocy, w gronie, jak pisze pamiętnikarz, „7–8 darmozjadów”. Grzymała Siedlecki zapamiętał zwłaszcza jednego; był to „Arab, prawnik, cenzor prasy gruzińskiej, wychodzącej w Tyflisie, twarz, na której wyźłobiły się wszystkie siedem grzechów głównych (...) Poza nim niemal każdy spoza jakiegoś nawiasu społecznego: od gatunku salonowych ptaków niebieskich do osobnika, który – ani wątpić – należy do tutejszego świata przestępczego”.

Teoria Boya odpada: pan Emeryk senior nigdy nie plajtował i jego syn, Władysław, miał tego niezbitą pewność. Gdybyż to o plajtę chodziło! Chodziło o plamy na honorze dwóch osób dramatu: Dagny i Stanisława Przybyszewskich. Straszny czyn Władysława Emeryka miał je zmyć. Ot, można powiedzieć, logika szaleńca.

Alfred Wysocki, przyszły dyplomata, pracował wówczas w „Gazecie Lwowskiej” i jako młody odporny, zwykł być tak odprowadzać do domu z winiarni George’a Jana Kasprowicza, zawołanego zabawowicza o słabej głowie, i robił to tak, żeby Kasprowicz był przekonany, że to on Wysockiego odprowadza.

Któregoś dnia wiosną 1901 żarty się jednak skończyły, woźny zameldował, że jakiś pan chce widzieć się z redaktorem. Alfred Wysocki wyszedł na korytarz.

„To był Kasprowicz! Ale jakże straszliwie zmieniony. Oczy miał jakby zagaste, twarz szerniała, czoło poorane, usta trzęsące, wykrzywione skurczem bólu czy wściekłości. Chwył mnie za rękę, pociągnął w ciemny kąt korytarza i zaczął mówić ochryplym, wychodzącym jakby ze studni głosem:

– Mój drogi, zatelefonuj do Tadzia Sobolewskiego i jedźcie obaj do mojego mieszkania... tam są dzieci same... Przełknął ślinę i dodał: – Żona wyjechała. Masz tu kilka koron, kup coś po drodze. Dzieci są pewnie głodne...

Głos mu się zatrzęsł, załamał, odwrócił się gwałtownie i odszedł”.